


Warszawa, dnia 1 (13) Sierpnia 1870 roku.

№ 32. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.



## SPRAWY RZEMIEŚLNICZE.

### III.

**Sale zarobkowe Staszica.**

W początku r. b. pismo Merkury i Tygodnik Illustrowany wystąpiły z uwagami co do zużytkowania jak najstósowniejszego, funduszu, legowanego przez ś. p. Staszica, na założenie sal zarobkowych w Warszawie. Dwa te głosy jednakże, podniesione w kwestji tak ważnéj, tak zbliska ogół obchodzącéj, nie znalazły echa, przebrzmiały jak głosy wołających na puszczy: oto pół roku upłynęło, od czasu odezwania się ich, a reszta prassy naszéj milczy sobie w najlepsze o téj kwestji.

Czyż to koniecznie potrzeba czapkować i bakę świecić panom koryfeuszom piśmiennictwa czasowego, żeby zaskarbić dla kwestji żywotnych których tyle nas otacza, jakie takie odezwanie się?

Czyż trzeba błagać o to, co jest obowiązkiem i powinnością tego piśmiennictwa?

* * *



Gabryela Puzynina. — (Strona 365-ta).

Niewygasłéj pamięci mąż, który przepędziwszy czynne i użyteczne swe życie na przemyśliwaniu nad dobrem ogółu, Staszic, testamentem swym przekazał fundusz w kwocie rs. 30,000 czyli dwakroć sto tysięcy złotych, na założenie sal zarobkowych dla rzemieślników Warszawskich. Summa ta, do chwili obecnéj na lokacji w Banku Polskim pozostająca, wzrosła do wysokości około 100,000 rs., że zaś większą jéj część składają papiery procentowe, więc średnio biorąc, można liczyć że daje ona odsetku 5,000 rs. rocznie mniéj więcéj.

Idzie teraz o to, w jaki sposób fundusz ten najwłaściwiéj użyćby należao,

gdy wykonanie literalne woli testatora, z upływem czasu, zmianą okoliczności miejscowych i ogólnych, i w obec postępu epoki w zapatrywaniu się na kwestję rzemieślniczą byłoby niestósownem, i gdy wszystkie te warunki nakazują użycie funduszu miarkować do ducha i wymagań czasu bieżącego, bez naruszenia myśli zasadniczéj testatora. Nie idzie tu bowiem o literalne wykonanie jego woli, ale ziszczenie jego intencji, które w duchu woli jego, a nie w literze wysłowienia spoczywa.

A więc rzemiosła i rzemieślników Warszawskich czasów bieżących potrzeba mieć na głównéj pieczy i celu, przy obmyśleniu sposobu najwłaściwszego zużytkowania tak znakomitego środka, jaki fundusz w mowie będący zawiera, ku podźwignięciu jednych i drugich.

Pan Makowiecki (Tygodnik Illustrowany Nr. 109 z roku 1870), projektuje założenie instytucji takiéj, którаby zapewniła rzemieślnikom naszym i wykształcenie fachowe, czyli umiejętność produkcji dla poczynających, i umiejętność zbytu, czyli sprzedaży rzeczy wyprodukowanych, i kredyt dla ułatwienia produkcji, na zakupywanie po cenach słusznych bez pośrednictwa przekupniów i eksploatatorów, materjału surowego, dla rzemieślników wykwalifikowanych.

Czyli, jednem słowem, projektuje założenie szkoły rzemiosł, w połączeniu z nauką handlu i kassą pożyczkową.

Zastanówmy się szczegółowo nad tym projektem, który poczytujemy w zasadzie za odpowiedni celowi i środkom.

I tak: przewidujemy z góry, że panowie majstrowie Warszawscy z niechęcią wielką widzieliby szkołę rzemiosł w Warszawie. Zdaje się im bowiem, że dotychczasowy sposób kształcenia fachowego rzemieślników jest najlepszy. Zapewnia im najprzód władzę nieograniczoną, częstokroć do tyraństwa posuwaną, nad młodzieżą uczącą się rzemiosła w ich warsztatach. Powtóre, korzyści materjalne, jakie im opłata za naukę lub terminatorzy, którym nic się za robotę nie płaci z ich strony, zapewniają. Potrzecie: uprzedzenie, że tylko długoletnie terminowanie, a następnie czeladnikowanie w jednym warsztacie, zdolne są dobrego majstra wykształcić.

Wszystko to zaś razem wzięte, jest zbiorem zacofanych zwyczajów, zarówno rzemiosłom jak i rzemieślnikom moralnie jak i materjalnie szkodliwych. Bo najprzód, tyranizowanie, rozpościerane nad terminatorami, używanie ich do posług domowych, oswojenie z brutalstwem słów i czynów, z nałogami zdemoralizowanéj czeladzi, nadużywającéj często tabaki, gorzałki i oddającéj się w czasie wolnym od pracy sprośnym uciechom; prowadzą pachołków do odrazy ku rzemiosłu i wydają zeń miernego i zniechęconego, a częstokroć nałogom przedwcześnie oddanego rzemieślnika. I to wtedy gdy pierwsza młodość, a zatem pierwsza świeżość i pojętność umysłu, pierwszy zapał i dobre chęci, pierwsze siły ciała i umysłu, w atmosferze dusznéj i smutnéj warsztatów bezpowrotnie są zniweczone lub stargane.

Rzemiosła nie są żadną filozofją, potrzebującą długoletnich kursów, wymagają bowiem zrozumienia istoty zadania, oswojenia się ze środkami i sposobami wykonania i nabycia wprawy w ich zastósowaniu za pomocą narzędzi. Każdy człowiek, z pojęciem i dobrą wolą, w dwudziestym roku życia może być doskonałym majstrem każdego rzemiosła, i potrafi nie tylko sam wykonywać swe wyroby, ale i kierować pracą mniéj odeń umiejących lub poczynających.

Utrzymywanie więc długie lata młodzieży w terminie, a następnie na stopniu czeladników płatnych, ale zależnym od kaprysu i łaski lub niełaski majstrów, jest marnowaniem sił ludzkości i czasu, jest to utrzymywanie rzemiosł na stopie mierności, a zatem cofanie ich, gdy wszędzie za granicą posuwają się one i doskonalą, stosownie do ducha i wymagań czasu.

Otóż, gdybyśmy mieli szkołę rzemieślniczą, z któréj wychodziliby pracownicy, kompletnie uzdolnieni w swoim zawodzie, moralnie nieskazitelni, fizycznie krzepcy, ruchliwi i wprawni, umysłowo oświeceni i z pojęciami zdrowemi o świecie, ludziach i pracy, to oczywistą jest rzeczą, że i rzemiosłaby skorzystały, i warsztaty by się rozwinęły i panowie majstrowie, nie tylko nie potrzebowaliby doznawać zgryźliwych przejść z terminatorami i zdemoralizowaną czeladzią, ale mając dzielnych i zacnych rzemieślników, tem pewniejsze i większe korzyściby odnosili.

Warsztaty rzemieślnicze, niejednokrotnie podobne do jaskiń jakichś, w których zatrutem powietrzu i ciemnościach, utrata zdrowia, wstydu i honoru przebywają stałyby się pracowniami w którychby spokój, jasność i dobrobyt kwitnęły.

Toć przecież nie trzeba tego dowodzić, że na dobrych i zacnych pracownikach, zależy powodzenie warsztatów rzemieślniczych. A takich pracowników nie wiele i rzadko kiedy wydają cechowe więzy, w których jęczą nasze rzemiosła. Niechby panowie majstrowie zrozumieli tylko, że szkoła rzemiosł, oddzielona od warsztatów i cechów, przysporzyłaby im takich robotników, a zatem i pomyślności, to sami staraliby się o nią.

Nie jeden warsztat byłby zdolnym wyprodukować nie mało i dobrych wyrobów, ale właściciele tych warsztatów, ledwie słabe pojęcia mając o tem, jak i gdzie należy zbywać wyroby, poprzestają na produkcji nader ograniczonéj i niczego nie dorabiają się na stare lata, pomimo pracowicie spędzonego żywota. Otóż umiejętność zbytu czyli sprzedaży wyrobów gotowych należy do handlu, jeśli zaś producenci nie znają się na jego obrotach, to korzystają z tego spekulanci, wiedzący gdzie, kiedy i jak wyroby spieniężać.

W warsztatach rzemieślniczych umiejętności zbytu nikt się nie nauczy, bo nie ma tam ani nauki, ani nauczycieli, ani czasu w ten cel potrzebnego. Dla tego też producenci pędzą życie utrapione w ubóstwie i często kończą na nędzy, gdy spekulanci i handlarze majątki robią, wyzyskując ich pracę. Producenci trzymają krowę za rogi, a handlarze ją doją na swój użytek.

Otóż czas byłby wielki, żeby obejść się bez handlarzy i nauczyć się samym swój towar sprzedawać.

Wreszcie przy ogólnym upadku, zaniedbaniu i niezamożności krajowych rzemieślników, największą przeszkodą do podniesienia się nowych warsztatów jest brak gotowizny lub kredytu uczciwego na zakupywanie materjału surowego. Ztąd też majstrowie albo pożyczają gotówkę od lichwiarzy na niemiłosierne procenta albo, biorąc materjał na kredyt, w lichym gatunku go i za cenę zdzierczą dostają. Wyroby więc ich z takiego materjału są za

drogie i w użyciu nietrwałe. A ztąd pochop do sprowadzania wyrobów zagranicznych jako tańszych i lepszych, lub gromadzenia się do nas rzemieślników cudzoziemskich, naszym warsztatom zajęcie i chleb wydzierających.

Jest u nas jeszcze jeden zwyczaj w sferze rzemieślniczéj wielce szkodliwy.

Synowie zamożniejszych rzemieślników bywają wychowywani tak, że nigdy prawie po swych ojcach nie obejmują warsztatów, ale garną się do zajęć wrzekomo szlachetniejszych, a w gruncie niepewnych i zwodniczych.

Żadna praca nie jest nieszlachetną.

Czy szewc, szydłem pracujący, czy pismak, piórem na chleb zarabiający, czy jurysta wymową swą zapewniający byt swój, czy gazeciarz, za pomocą dziennika kierowanego przez siebie utrzymujący swą rodzinę, czy autor, ze swych utworów czerpiący środki do życia, czy wszelki inny człowiek, środki takie zdobywać sobie głową lub rękami, a zwykle i tą i temi zarazem, obowiązany,—są to rzemieślnicy w obec prawdy bezwzględnéj, albo inaczéj pracownicy, gdy nie wszystko nazywa się rzemiosłem co jest pracą i nie każda praca nazywa się robotą.

Dla tego zaś synowie rzemieślników przez ojców swych do warsztatów nie bywają przyspasabiani, że żal im poniewierać swe dzieci u tych warsztatów, u których obce dzieci bywają poniewierane.

Gdybyśmy mieli szkołę rzemiosł, w niéj zapewne nie omieszkaliby panowie majstrowie kształcić swe syny, a więc w interesie ich rodzinnym nawet, leży potrzeba takiéj szkoły.

Z drugiéj zaś strony publika nasza, smutnem doświadczeniem nauczona, że w obecnych czasach i okolicznościach jedynie przemysł handlowy, fabryczny lub rzemieślniczy, byt spokojny i trwały zapewnia, skłonną byłaby bardzo do poświęcania takiemu przemysłowi swych dzieci; ale cechowe i warsztatowe trudności i nadużycia i skutki, jakie one wywierają na młodzież rzemieślniczą i pomyślność rzemiosł, stanowią tamę w téj mierze dla dobrych chęci rodziców.

Szkoła więc rzemiosł, proponowana przez pana Makowieckiego, otworzyłaby wrota młodzieży sfer innych do poświęcania się warsztatom i wkrótce mielibyśmy młode, w racjonalnych warunkach ukształcone fachowo pokolenie rzemieślników, któreby rzemiosła i handel wyrobami swemi na nowe lepsze tory popchnęło.

Pan Makowiecki przypuszcza, że tylko 50 uczniów na pierwszy rok do szkoły téj zgłosiłoby się po naukę i że po sześć rubli opłaty miesięcznéj należałoby za naukę od nich pobierać, dając cyfrę rocznego z téj opłaty dochodu na 3,600 rs.; otóż poważamy się mniemać: 1) że smutną byłoby nader rzeczą, żeby w dniu otwarcia szkoły rzemiosł tylko 50 uczniów się zgłosiło; nie zgrzeszymy sądząc, że najmniéj trzy razy tyle zawitałoby do niéj; 2) opłata 72 rs. rocznie za naukę, żadną miarą nie dałaby się zastósować, najwięcéj należałoby pobierać po rs. 2 miesięcznie, aby przystęp do szkoły jak największéj liczbie młodzieży zapewnić; 3) nie można liczyć roku naukowego téj szkoły na 12 miesięcy, bo trzeba byłoby dać wakacje sześcio-tygodniowe. Na zasadzie więc tych przypuszczeń wypadałoby że dochód roczny od 150 uczniów wynosiłby 3,150 rs. lub okrągłą cyfrę tylko 3,000 rs.; dodawszy zaś do tego 5,000 rs. dochodu od kapitału, wypadałoby 8,000 rs. funduszu rocznego na prowadzenie i utrzymanie szkoły, gdyby nie chciano kapitału naruszyć na założenie jéj i urządzenie, w całym zakresie znaczenia tego wyrazu.

Bo przyjąwszy podaną przez pana Makowieckiego cyfrę 96,000 rs. jako kapitał do rozporządzenia w chwili obecnéj za normę, to obliczenie szanownego autora projektu co do szafunku tego funduszu nie wydaje się być nam dość jasne. Naprzykład: jak należy rozumieć cyfrę 10,000 rs. na założenie szkoły praktycznéj i zaopatrzenie jéj w warsztaty, narzędzia i modele? Na utensylja szkolne i warsztaty do nauczania byłoby to za wiele, na warsztaty specjalne przemysłowe za mało. Naprzykład na warsztaty naucząlne, na produkcję rozległą nie rachujące, proponowane przez pana Makowieckiego, jak: blacharskie, lampiarskie, nożownicze, rymarskie, ślusarskie i tokarskie, nie trzeba byłoby tak wielkich wydatków, zwłaszcza, jeżeli do manewrowania narzędziami siły pary używać nie trzeba byłoby w początkach i poprzestawaćby zechciano na ręcznéj robocie.

Następnie, na zaopatrzenie warsztatów w materjały surowe 50,000 rs. jest cyfrą przesadzoną, gdyż trzebaby liczyć na zbyt wyrobów, a zatem dochód od nich i zwrot kosztów, wyłożonych na kupno materjałów, więc, obracając w ciągu roku 15,000 rs. na ten cel, możnaby szkołę mieć ciągle zaopatrzoną w materjały, nie potrzebując posiadania lokalów na składy większéj ich ilości i obywając się bez zachodów, potrzebnych do konserwowania zapasów zbyt wielkich.

Daléj koszt urządzenia bazaru i biura kommisowego, obliczony przez p. Makowieckiego na 10,000 rs., wydaje się nam z tego tytułu nie racjonalny, że koszt ten powinien być połączony z kosztem urządzenia szkoły, a następnie dla tego, że daleko byłoby racionalniéj wyroby trzymać w składach a bazar połączywszy z biurem kommisowym poprzestać na rozmiarach niezbędnych do zbytu dziennego i czynności biurowych.

Na zasadzie naszych przypuszczeń założenie szkoły, warsztatów, bazaru i biura, składów materjałów i wyrobów, zakup materjałów, nie potrzeba byłoby więcéj na pierwszy rok jak 30,000 rs., licząc szkołę najwyżéj na 200 uczniów, warsztaty na kilka pierwszorzędnych rzemiosł, potrzeby życia ale nie zbytek mających na celu, zapasy materjałów na 10,000 rs. i rachując na dochód od uczniów, ze sprzedaży, kommisu i procent od reszty kapitału, pozostawionego na lokacji w rezerwie. Zamiast nauki lampiarstwa wolelibyśmy widzieć nauczane piekarstwo, szewiectwo i krawiectwo. Piekarstwo owe, wymagające większych nakładów, dałoby też większe i codzienne zyski.

Na tych kilku uwagach poprzestając zaznaczamy tu fakt, że widać, iż panowie majstrowie nader kwaśno projekt pana Makowieckiego przyjęli, skoro żaden z nich swego zdania dotychczas co do takowego nie objawił, chociaż umieją jeżeli tylko zechcą i dobrze nawet przemawiać. Widać, że panowie majstrowie i właściciele warsztatów rzemieślniczych, w zacofanych swych lub wstecznych pojęciach, upatrują w projekcie tym cios dla swego dostojeństwa i interesu osobistego. Otóż staraliśmy się pobieżnie dać poznać, że się mylą, że właśnie ich interesem moralnym i materjalnym byłoby założenie szkoły wedle

pomysłu pana Makowieckiego,—że oni pierwsi, nie tylko moralnie przez podniesienie głosu i wyjawienie opinji swojéj w téj kwestji, ale i materjalnie —przez ułatwienie jéj urzeczywistnienia, przyłożyć się powinni.

Ocknijcie się tedy, panowie!

Co do pism czasowych, to wiemy z góry, że głos nasz będzie względem nich grochem rzuconym na ścianę; wszakże i pismo Merkury i pan Makowiecki rzucali tym grochem, a ściana pozostała ścianą.

*Aleksander Osipowicz.*

Jak na tkance czerkieskiéj
Wzorzyste arabeski.

W mijającéj dni wiośnie
Dźwięczy jasno, rozgłośnie,
Jak ptaszę wzlata śmiało
I napełnia pierś całą....

A choć błyśnie w niéj łezka,
To tak czysta, niebieska,
Że nie przerwą się dźwięki
Młodéj szczęścia piosenki.



**Eleonora Ziemięcka.** — (Strona 365-ta).

## WIECZNA PIOSNKA.

Jest w ludzkiem sercu nuta,
Ośpiewana, odczuta,
Choć wiek piersi oziębi,
Ona wiecznie brzmi w głębi.

Dziwacznie, rozmaicie
Wplata się ona w życie,

Młodość mija, jak chwilka,
Lecz piosnka nie umilka
I brzmi w sercu na wieki,
Jak głos dzwonu daleki.

Bruzdy legną na skroni,
Ona jeszcze w ciąż dzwoni,
Dźwiękiem pierwszych snów, rojeń,
Pierwszych serca upojeń....

I ciągle się powtarza,
Aż do bramy cmentarza
I na wzgórzu grobowem
Pożegnania brzmi słowem....

*Tomasz Zawadyński.*

## Eleonora Ziemięcka i Gabryela Puzynina.

Rok zeszły uszczuplił grono polskich kobiet piszących o dwie zaszczytnie znane pracowniczki, których życiorysy podały już pisma nasze i których działalność na niwie piśmienniczéj starały się ocenić. My dziś, podając ich wizerunek, chcemy tu rzucić tylko kilka myśli ogólnych o udziale kobiet w pracach umysłowych narodu i zastanowić się pokrótce porównawczo nad działalnością dwóch pracownic, które zajęły wcale wydatne stanowiska w literaturze naszéj i pracami swemi wywierały wpływ znaczny, chociaż nie jednakowy i nie równy.

O kobietach literatkach wiele pisano i doszliśmy wreszcie do tego, że nikt już dzisiaj nie zaprzecza kobiecie prawa zabierania głosu publicznie, pracy umysłowéj w wszelkim kierunku. Nie myślimy tu wracać do téj kwestji. Zadamy sobie tylko pytanie, czy większy lub mniejszy udział kobiet w jakiem piśmiennictwie jest wypływem jakiéj cechy charakterystycznéj tego piśmiennictwa, lub czy mu taką cechę nadaje. Zdaje nam się, że nad tem pytaniem nikt się dotąd bliżéj nie zastanawiał.

Faktem jest, że w jednych piśmiennictwach większy, w innych mniejszy udział biorą pióra niewieście, a nawet, że w jednem i tem samem piśmiennictwie, np. polskiem, prace kobiece lubią się skupiać, zbiegać jakby do jednego ogniska, do pewnych punktów centralnych ruchu umysłowego a unikają innych. Spostrzeżenie takie zrobiliśmy będąc w początkach r. z. we Lwowie. Uderzyło nas, że do tamtejszego świata literackiego, dosyć licznego i czynnego, a ruchliwego może aż za bardzo, kobiety nie wchodzą prawie wcale, gdy w innych miejscach, np. w Warszawie, dostarczają znacznego kontyngensu legjonowi żołnierzy pióra. Zaczęliśmy się zastanawiać nad tą okolicznością i doszliśmy do tego wniosku, że udział kobiet w pracy literackiéj jest pod pewnym względem dla literatury zaszczytem, a brak tego udziału dowodzi pewnéj ujemnéj strony piśmiennictwa, w którem go spotykamy.

Usprawiedliwimy zaraz ten wniosek.

Literatura, któréj ogniskiem jest Lwów, jest, jak już powiedzieliśmy bardzo, ożywiona, chwilami nawet gorączkowa. Publicystyka tamtejsza karmi się głównie walką o najrozmaitsze zasady społeczne lub polityczne. W walce takiéj jednakże trudno się utrzymać na wyłącznem stanowisku obrony zasad i schodzi się częstokroć do polemiki osobistéj. Zbyt częste wytaczanie sporów osobistych przerodziło się wreszcie prawie w zwyczaj i naturę literatów lwowskich i dziś już niemal nie odróżniają tam wcale walk, o zasady i przekonania od osobistych zaczepek. Doszło do tego, że potworzyły się koterje, że jedni literaci oczerniają i szarpią drugich, że biorąc pióro do ręki nie zawsze można być pewnym, czy na pocisk atramentu przeciwnik nie odpowie pociskiem błota. Do gladjatorskich zapasów na broń taką kobiety, jako istoty delikatniejszéj od mężczyzn natury, nie są zdolne; walka tego rodzaju musi dla nich być wstrętną i oto dla czego, choć w samym Lwowie mieszka kilka kobiet piszących, nie biorą one prawie żadnego udziału w publicystyce miejscowéj i literaturze bieżącéj.



Objawienie. — (Strona 366-a).
(Rysunek Artura Grotgera).

U nas widocznie jest inaczéj... walczymy w ogólności bronią szlachetniejszą, w krytyce lub polemice nie odchylamy zasłon prywatnego życia i pojmujemy, że ludzie przeciwnych przekonań nie potrzebują koniecznie pragnąć się wzajem w łyżce wody utopić. Jest więcéj towarzyskiego poloru w naszéj pracy piśmienniczéj, w naszéj publicystyce i dla tego jest ona przystępniejszą dla piór, ujętych w drobne rączki piękniejszéj połowy rodu ludzkiego. To tłómaczy, że mamy dosyć literatek, choć znowu z drugiéj strony nie mamy ich zbyt wiele, ażeby piśmiennictwu naszemu lub jakiéjbądź jego gałęzi nadawały charakter przeważnie kobiecy, jak było naprzykład w Anglji, gdzie od roku 1789 do 1815 na dwudziestu główniejszych romansopisarzy, większość, bo aż 14, stanowiły kobiety.

Udział kobiet w piśmiennictwie naszem jest zatem zupełnie normalny i tem boleśniéj opłakiwać musimy każdą stratę, która szeregi kobiet piszących przerzedza.

Po téj uwadze przechodzimy do krótkiego poglądu na stanowiska Ziemięckiéj i Puzyniny.

Eleonora Ziemięcka była kobietą uczoną w całem znaczeniu tego wyrazu; nauki mógłby jéj nie jeden mężczyzna pozazdrościć; Gabrjela z Güntherów księżna Puzynina była tylko kobietą ukształconą w sferze właściwéj kobietom. To też Ziemięcka działała głównie w sferze, do któréj rzadko posuwają się kobiety, w sferze filozofji. Puzynina pragnęła być poetką i najwyższem jéj pokuszeniem się był dramat. Pierwsza, choć jasna zawsze, nie potrafiła prawie być popularną w wykładzie, nie umiała naprzykład,

chociaż próbowała, pisać dla ludu (*Powieści ludowe* wydane w Warszawie u Dzwonkowskiego) druga z saméj natury pióra swojego była zrozumiałą nawet dla prostaczków. Obie jednakże pozostały w tych granicach, po za które ze zdziwieniem widzielibyśmy wybiegającą u nas kobietę, obie pozostały wierne religji ojców: Ziemięcka była filozofką-katoliczą, i o religijności Puzyniny sam jéj pseudonym „Autorka w imię Boże“ poświadcza.

Działalność Ziemięckiéj była dłuższą i obfitszą w prace; Puzynina krócéj działała, rzadziéj i drobniejszemi odzywała się pracami. Pierwsza pracowała wiedzą, druga talentem; obie nie ukryły powierzonego sobie skarbu, ale go podwoiły z lat biegiem. O Ziemięckiéj nie zapomni literatura jako o filozofce, o autorce *Studjów* (Wilno, 1862), w których między innemi rozbierała dzieło Józefa Gołuchowskiego: *Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka i rodu ludzkiego* (wydane tamże rokiem pierwéj), jako o redaktorce *Pielgrzyma*, jednego z najpoważniejszych pism perjodycznych swojego czasu; nazwisko Puzyniny zapisze historyk piśmiennictwa między poetki, daleko wprawdzie pod względem potęgi talentu po za jéj imienniczką Gabrjelą, daleko pod względem świetności formy po za Deotymą, zapisze jednak, bo rozrzucone po zbiorze jéj poezji perełki talentu i najpoczciwsze chęci ocalą jéj imię od zapomnienia.

Ziemięcka najobszerniejszéj nie lękała się pracy; Puzyninéj na coś więcéj jak na drobny wierszyk tchu brakło. Wartość też jéj utworów jest w stosunku odwrotnym do długości. Im są dłuższe tem słabsze i odwrotnie. Dramatyczne są najsłabszemi. W komedji obyczajowéj brak jéj dowcipu, znajomości sceny, techniki; w dramacie historycznym (*Jadwiga*) autorka boi się stworzyć cośkolwiek, czegoby nie czytała w historji. W ogóle te dramatyczne próby są najlepszym dowodem, że Puzynina do utworów dłuższego ciągu nie była zdolną. *W Jadwidze* są akty, mające po 4, po 2, a nawet po jednéj scenie. Autorka, czując sama że akcja nieruchawa, każe w przypisku, aby dla ożywienia jéj (!) przechadzali się w głębi sceny ludzie różnego stanu: przekupki, rybacy i t. p. Akt w przecięciu ma 200 wierszy, czasami o wiele mniéj. Architektonika dramatyczna, kreślenia charakterów, akcja niezręcznością, miejscami naiwną, z średniowiecznemi djalogami graniczy. Nie był też dramat zawodem autorki w Imię Boże i nie dramatycznemi utworami zasłużyła sobie na poczciwą pamięć w literaturze.

Króciuchne to zestawienie dwóch literackich działalności pokazało więcéj ich wzajemnych niepodobieństw, niż jakiegokolwiek między niemi podobieństwa. Nie było też naszym zamiarem stawiać ich na jednem stanowisku, śmierć w jednym prawie czasie je zabrała i przez to niejako pochowała je obok siebie, dla zacnych zaś chęci, poczciwych dążeń jednéj i drugiéj jednakową cześć nieść musimy.

*Władysław Sab.*

---

## RYSUNKI
## Ś. p. Artura Grotgera.

W numerze 21 Opiekuna Domowego z r. b. zamieszczony był drzeworyt z rysunku Grotgera, należącego do serji rysunków, stanowiących całość nazwaną przez artystę: *Wojna*.

Otóż serja ta zawiera następujące przedmioty:

1. *Objawienie.* W pracowni swéj artysta przed czystem płótnem, na którem zamierzył wymalować *Wojnę*, rozciągniętem na blejtramie, i ustawionem na stalugach, zadumał się głęboko. Ze schylonéj głowy jego, wspartéj ręką w pięść ułożoną, widać ducha pracującego w krainie przyszłości twórczych. Duch ten wędruje kolejno po obszarach ludzkości i zbiera pewne wzory do obrazu ze scen domowych, gdzie łzy rozpaczy płyną, i scen pola bitwy, gdzie krwi strumienie się leją, ze scen pobojowisk, gdzie cisza śmierci po wrzawie wojny nastała. Genjusz sztuki, w postaci niewiasty z gwiazdą nad czołem buja w powietrzu i z górnych sfer ręką wabi ducha artysty w krainę twórczości.

2. W krainie téj, wyobrażonéj przez następną rycinę, genjusz sztuki odkrywa przed artystą we własnéj osobie obok niego stojącego, piękną okolicę, w głębi której wśród letniéj nocy rysuje się wysmukła wieżyca kościoła wiejskiego, a na przodzie widać dwie niewiasty: starszą z wnukiem u kolan, młodszą do niéj tulącą się, siedzące na ławce ogrodowéj. U nóg ich leży kapelusz dziecinny, wolant, i pies wierny w kłębek zwinięty wczasu używa. Po za niemi, para młodych ludzi, w serdecznym stosunku z sobą zostających, widnieje.

Był upał, rodzina schroniła się do ogrodu. Dziecko bawiło się wolantem i z pieskiem igrało;—starsze kobiety zajmowały się robótkami, bo jedna z nich nawet nożyczki trzyma jeszcze w ręku. Cudna para, gdzieś przechadzała się w wyniosłych alejach, pod cieniem lip odwiecznych.

Wszystko oddychało spokojem, wiarą, nadzieją, miłością, szczęściem.

Nastąpił wieczór, gawędzono, zabierano się do domu, gdy wędrowna para, wracając do starszych kobiet z pomiędzy drzew, na niebiosach ujrzała majaczącą kometę, niby rózgę mosiężną, grożącą ludzkości.

Para ta zagawędzonym kobietom na ławce okazuje znamię niebieskie i napełnia je trwogą. Starsza z nich, co we wspomnieniach swych nosi pamięć podobnych zjawisk i tego, co one z sobą ludzkości przyniosły, patrząc w niebo załamała ręce i zdaje się w myśli powtarzać: Boże! odwróć od nas ten nowy kielich goryczy... a młodsza tuli się do pierwszéj z przerażeniem, ale oczu od majaczącéj groźnéj rózgi niebieskiéj oderwać nie może. Wzrok jéj zdaje się być do zjawiska przykutym.

Młoda para po za niemi, przedstawia oddzielny dramat—bo gdy w przerażeniu dwóch kobiét starszych widać niepokój matki któréj syn gdzieś w szeregach rycerskich służy, i zgrozę żony, któréj mężem jest syn pierwszéj,—w postawie tkliwéj pary widzimy zamyślenie się narzeczonego, który spojrzawszy na kometę słyszy w głębi duszy głos powinności wołający: trzeba iść, trzeba walczyć, wojna! wojna! i głos serca kwilący: czyż opuścisz twą ukochaną? czyż ją zasmucisz a może zabijesz swém wydaleniem? co z nią się stanie? kto ją będzie zasłaniał i bronił przed wrogiem mordami i pożogami?

A narzeczona, swem niewieściem sercem czytając z czoła pochylonego, ale po męzku trzymanego i rycerską dumą rozjaśnionego, swego ukochanego, złożyła obie dłonie na jego ramieniu, a na dłoniach wsparłszy swą skroń, w cichości patrzy mu w zadumane czoło i zdaje się głosić: nie puszczę cię, lub pójdę razem z tobą. Nikt w świecie nie zdoła rozłączyć mnie z tobą. Zgińmy oboje społem!

A tu miotła złowroga majaczy w cichych niebiosach i ciągnie gdzieś nad ziemią, którą ma napoić wkrótce łzami i krwią...

Co za okropna cisza wieje z tego wizerunku!

Jakież okropne krzyki rozpaczy nadciągają do téj krainy, w któréj ludziom oddech zamarł w piersiach...

Wojna! wojna!

3. Na obrazku, zamieszczonym w Nr. 21 Op. Dom., widzimy scenę losowania. Do izby urzędowéj wciska się matka konskrypta, ale szyldwach usuwa ją z tamtąd i drzwi z militarną precyzją zamyka.

Przed stołem stoi popisowy w bieliźnie i niższem ubraniu. Rękę prawą ma otworzoną i zdaje się przebiérać nią numera w wazie téj zawarte. Oczy ma spuszczone, bo nie śmie spojrzéć na matkę swą, ale twarz ku niéj zwrócona świadczy, że serce jego przy niéj przebywa. Postawa młodzieńca pełna szlachetności i posągowéj powagi.

Przed stołem po drugiéj stronie zasiada trzech oficerów, losowaniem kierujących. Najstarszy z nich widocznie prezydujący, siedzi pośrodku.

Jest to człowiek energicznéj i gwałtownéj natury. Z marsowéj jego twarzy, ogorzałéj i posiwiałéj w obozach i bojach, z jaskrawego wzroku i ręki spoczywającéj na krawędzi stołu w takiéj pozycji, że zdaje się być gotowiuteńką potężną pięścią huknąć w deski jednocześnie z okrzykiem: *nie marudź*! widać wojaka, zahartowanego przeciwko wszelkim tkliwym wzruszeniom i przywykłego do rozkazywania i egzekwowania doraźnego swych rozkazów.

Po prawéj ręce jego, siedzi oficer z założoną nogą na nogę i dłonią prawą na kolanie wspartą. Spoglądać się zdaje on ze współczuciem na konskrypta i dumać nad jego przyszłemi losami.

Po lewéj ręce prezydującego siedzący oficer służbowy w kasku, z głową wspartą na lewéj dłoni, opierającéj się na stole, z pod oka patrzy na rękę konskrypta, obnażoną do łokcia i zanurzoną w urnie, czy losujący nie dopuści się czasem jakiéj malwersacji?

Pod ścianą stoi szeregowiec w pogotowiu do zanotowania rezultatu losowania...

W głębi genjusz sztuki artyście całą tę scenę odkrywa.

(*d. c. n.*)

---

## ZEMSTA KOBIETY

### OBRAZEK Z PRAWDZIWEGO WYDARZENIA

przez

**Kornelję Drzewiecką.**

### I.

W roku 1842 karnawał w Kielcach był bardzo świetny. Korzystając z tego usposobienia do zabaw, Rada Opiekuńcza miejscowego szpitala postanowiła ogłosić bal na korzyść ubogich, który też rzeczywiście urządzono w dniu 2 Lutego, w nowéj, niedawno z przeznaczeniem na zabawy publiczne zbudowanéj sali. Przystrój téj sali podobał się ogólnie. Ściany były białe, ozdobione pąsowemi draperjami, takież firanki u okien i obicie otaczających salę ławeczek. Był i chórek, na umieszczenie muzyki przeznaczony. Ale co największą admirację wzbudzało, to olbrzymi żyrandol, jakiego wprzód nigdy w Kielcach nie widziano. Żyrandol ów rzucał snopy światła na wszystkich wybrańców losu, którym kieszonkowe przeszkody nie wzbraniały przyjść na bal, a pod nim stał zastęp młodzieży, zamierzającéj sobie i innym uprzyjemnić wieczór tańcem. Starsi panowie umieścili się pod chórkiem, a panienki z matkami zasiadły ławeczki dokoła sali.

Ktokolwiek pamięta ową epokę, przypomni sobie, jakie wówczas na prowincji, dziwaczne panowały pojęcia. Klassy społeczeństwa murem chińskim oddzielone były jedne od drugich. Urzędnicy nie przyjmowali w swe grono szczupłéj garstki przemysłowców i obywateli miejskich, a ziemianie z okolic unikali znowu urzędników. Z tego powodu zgromadzenie publiczne częstokroć śmieszny przedstawiało widok; bo jeżeli jaka jednostka z obcego obozu wkroczyła na grunt sąsiedzki, wprawne oko natychmiast poznało intruza. Jeżeli on należał do klassy, uważanéj za niższą, był nieośmielony i samotny, jeżeli zaś był przedstawicielem wyższéj kasty raził arogancją i dumnem obejściem. Słuszność tych uwag potwierdzić możemy, ukazując czytelnikom zebraną pod żyrandolem młodzież. Ludność miasteczka składała się przeważnie z urzędników, to też młodzi ludzie, na balu zebrani, choć rysami twarzy różnili się od siebie, przecież przedstawiali jeden główny typ i dwóch tylko odznaczało się widocznie.

Jeden był młodym człowiekiem około 30 lat liczącym; maniery miał światowe, ubrany z wytworną elegancją, włosy nosił krótko strzyżone *à la malcontante*, binokle i bródkę, podówczas zygmuntówką zwaną. Drugi był młodzieniaszkiem 22 lat, ale powierzchowność jego nie pokazywała nawet tyle. Twarz miał prawie dziecinną lecz odznaczająco piękną, zarostu żadnego, tylko maleńki zarys na wąsiki i ciemne włosy ufryzował *à l'enfant Jesus* i kołnierzyki do koszuli wywinął szeroko. Śmiał się głośno i szczebiotał jak dziecko do swego towarzysza, nie zważając na otaczających. Bal jeszcze się nie rozpoczął, nowi goście przybywali co chwila.

— Powiédz mi Marjanie,—mówił wskazując na grupę osób wchodzących,—powiédz mi, kto są ci państwo? Na przykład, ten oto młody człowiek, co prowadzi poważną panię w czarnéj jedwabnéj sukni, a obok nich postępuje młoda panna w bieli, z szkarłatną szarfą i kwiatem granatu we włosach, obok starego jegomości.

— To młody adwokat, August Krzemionka, odrzekł Marjan, wskazując wzrokiem młodzieńca niskiego wzrostu, którego twarz nie była ani piękną ani brzydką, ale nosiła wyraz dobroci, a czoło odkryte i zaczerwienione oczy świadczyły o nieustannéj pracy.

— A towarzyszące mu Panie kto są? pytał znowu młodziutki przyjaciel Marjana.

— Ta niemłoda osoba, to żona doktora X., który za niemi postępuje, prowadząc pod ramię siostrzenicę swoją, przybyłą z Warszawy, pannę Zofję Miniewicz, narzeczoną Krzemionki.

— Ach! to pan Krzemionka ma już narzeczoną? Szkoda, że nie piękniejsza! Zrobiłbym mu figla, bo mam urazę do niego.

— Mówiłeś, że go nie znasz, zagadnął Marjan.

— Nie znałem jego nazwiska, ale spotkałem go już przed parą dniami w restauracji, gdzie dawałem dla kilku urzędników śniadanko z szampanem. Przy bocznym stoliku siedział Krzemionka z kimś drugim, który go zapytał o moje nazwisko. Krzemionka odpowiedział półgłosem, ale ja wyraźnie dosłyszałem te słowa: „to pan Juljusz Kalinowski, dziedzic dóbr, niedawno został pełnoletnim i spieszy się używać tego daru, aby swój Wąsoszyn oddać co prędzéj w ręce żydowskie.“

— Marjan się zaśmiał, potem skrzywił się niesmaczno i rzekł do towarzysza. Sameś sobie winien Julku, pospolitujesz się zanadto.

— Ale się zemszczę, — odrzekł zapérzony Julek, zbałamucę mu narzeczoną!..

W téj chwili muzyka dała hasło tańców. Juljusz podbiegł do Zofji, a wymieniwszy jéj swe nazwisko, zaprosił do tańca. Zaprosiny te ponawiały się tak często i z takiém wyrachowaniem, że pan August przez cały przeciąg balu zaledwie parę razy mógł tańczyć z narzeczoną. W czasie przestanków, Juljusz bawił ją rozmową.

W kilka dni potem, prezesostwo T. dawali wieczór, na którym miała być przeważająca liczba obywatelskiéj młodzieży. Juljusz Kalinowski i przyjaciel jego Marjan Dolski, powszechnie od współtowarzyszy baronetem zwany, byli także w liczbie zaproszonych. Bale i wieczory następowały jedne po drugich. Nasi dwaj znajomi znajdowali się na każdym i nie myśleli miasta opuszczać. W końcu karnawału, który był w tym roku bardzo długi, Pan Dolski odebrał list hrabiego Adasia, jak go zwykle nazywał, zapraszający do Krakowa na ostatki. Jedno-

cześnie ukazała się na widowni krakowskiego świata cztero-miljonowa dziedziczka. Pan Marjan zapragnął ją poznać, wyjechał więc spiesznie. Juljusz został bez opiekuna.

*(dalszy ciąg nastąpi).*

## Wiadomości Techniczne.

**— Wartość jednego ptasiego gniazda.** Towarzystwo Opieki nad zwierzętami w Turyngji (w Niemczech) ogłasza następującą odezwę zasługującą ze wszech miar na uwagę czytelnika: Kochany rolniku! Twój chłopiec z nudów albo też przez psotę zabrał jedno gniazdo ptasie, w którém znajdowały się wróble albo inne ptaki—wszystko jedno: czy to były jaja czy też pisklęta. Było ich tam najmniéj 5 w gniazdku. Każde z młodych ptasząt potrzebuje dziennie około 50 sztuk gąsienic lub innych owadów, których im na pożywienie przynoszą stare z sąsiednich ogrodów, a zatem dziennie młode ptaszęta potrzebują tych owadów 250 sztuk. Karmienie trwa od 4 do 5 tygodni, ale przypuszczając tylko dni 30, wypada więc na jedno gniazdo 7,500 Każda gąsienica pożera dziennie liścia i kwiatu ilość, równającą się swojéj własnéj wadze. Przypuszczając że poczwarka potrzebuje na dzień jeden kwiatek, to w 30 dniach pożera 30 owoców pod postacią kwiatu, a więc 7,500 sztuk gąsienic, w 30 dniach pożerają 225,000 takich kwiatów. Gdyby więc twój chłopiec nie ruszał był gniazda, to ty i twoi sąsiedzi byliby zebrali o 225,000 więcéj śliwek, gruszek, jabłek. Jeżeli jeszcze gąsienica, dla przyjemności na dzień jeden zniszczy 10, 20 do 30 kwiatów, jak to często robi, lub gdy w skutek zniszczonego liścia, kwiaty nie znajdując pożywienia więdną i opadają—to powyższa cyfra straconego owocu, dla ciebie i twoich sąsiadów, staje się jeszcze o wiele większą. Łatwo więc teraz możesz obliczyć, jak wielką posiada wartość, jedno ptasie gniazdo!

*J. P.*



**Przepowiednia wojny.** — (Strona 366-a).
(Rysunek Artura Grotgera).

## ROZMAITOŚCI.

**— Z powodu sprawozdania p. Piotrowskiego o sessji Zgromadzenia drukarzy w Warszawie.** W Nr. 30 z dnia 29 Lipca r. b. ,,Opiekuna Domowego'' mieści się nie artykuł, lecz raczéj akt oskarżenia Urzędu Starszych Zgromadzenia Drukarzy Warszawskich, podpisany przez p. Piotrowskiego. Jako interesowany w działaniach naszego Urzędu Starszych o tyle tylko, o ile mi przysługują do tego prawa Członka zgromadzenia drukarzy, nie mam zamiaru wdawać się w szczegółową odpowiedź p. Piotrowskiemu, tembardziéj, że artykuł jego godzien jest odpowiedzi nie przez pismo publiczne. Słówko jednak o samym p. Piotrowskim. ,,Najgorszy to ptak co gniazdo swoje kala''— zdanie to powinno było utkwić w pamięci p. Piotrowskiego przy pisaniu jego artykułu, pod którym sama nawet Redakcja ,,Opiekuna Domowego'' zrobiła uwagę, że nie bierze zań na siebie odpowiedzialności. Powinien był pamiętać, że artykuł, przez niego do druku podany o odbytéj sessji Zgromadzenia Drukarzy, pisany był właśnie w chwili, gdy toż Zgromadzenie, przeciw któremu powstaje, przyjęło go do grona swego, wypisując z ucznia na towarzysza.—Powinien również pamiętać, że czyni zarzuty Urzędowi Starszych, który, przez ogół swych członków wybrany i wspierany na drodze rozwoju naszego zgromadzenia, wszystkie swe czynności prowadzi protokólarnie a protokuły te ma poświadczane przez wszystkich na sessji obecnych. Aleź prawda, nie można powiedzieć, że protokół sessji, odbytéj dnia 25 Czerwca, o któréj szczegóły jako świeżą wiadomość p. Piotrowski podał ,,Opiekunowi Domowemu'' dopiero dnia 29 Lipca,— został podpisany przez wszystkich, gdyż tenże p. Piotrowski zaledwie na sessji, w przyszłości odbyć się mogącéj, pierwszy raz swój podpis położyć będzie miał prawo. — Rzeczywiście ,,po co ta komedja''—(słowa p. Piotrowskiego), po co pisać o rzeczach, o których się ma wyobrażenie zaledwie z przypadkowego podsłuchania rozmawiających o nich? Jeszcześmy nie słyszeli głosu p. Piotrowskiego na zebraniach naszych, a do roztrząsania kwestji wewnętrznych Zgromadzenia, tu tylko jest najwłaściwsze pole. Rozmazywanie po pismach publicznych zdań fałszywych, a ujmę Zgromadzeniu, przynoszących, nie zjedna mu zasługi apostoła, — a tak postawiwszy swój pierwszy krok na drodze, utorowanéj mu przez jego poprzedników, czegoż się może spodziewać? Czy sądzi, że go wszyscy przyjmować będą z otwartemi rękami, jako reformatora sztuki drukarskiéj? Myli się bardzo. Postępowaniem takiem wystawia się tylko na niechęć ogólną, — a cierpieć —za słuszną tylko sprawę się godzi.— Redakcja ,,Opiekuna Domowego'' w przypisku swoim głosi, że otwiera swe szpalty stronie przeciwnéj do usprawiedliwienia się. Niechże tych słów kilka nie będą uważane za jakieś usprawiedliwianie się, ale raczéj za wyraz oburzenia, jakie artykuł p. Piotrowskiego między dobrze myślącymi Członkami naszego Zgromadzenia wywołuje. Stroną przeciwną właściwie, jest tu Urząd Starszych, ale ten, otoczony ufnością i sympatją ogólną swych członków, nie będzie zapewne odpowiadał na to, co odpowiedzi nie warto.

*Ignacy Zawiszewski*
Towarzysz Sztuki Drukarskiéj.

Do tego N-ru *Opiekuna Domowego*, dołącza się dla wszystkich prenumeratorów, *ósmy zeszyt* **,,Czytelni Domowéj.''**

**Wydawca,** Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.